

**Wojenna zawierucha
uczyniła życie utalentowanego
sportowca Henryka Zgudy
pasmem tragicznych i szczęśliwych zdarzeń,
które złożyły się na niezwykłą epopeję.**

Zguda zaczyna swą opowieść od przedwojennego Krakowa. Mówi o życiu w ubogim domu koło dworca, o beztroskiej młodości i o sportowym współzawodnictwie. Był bowiem zapalonym pływakiem i waterpolistą, osiągając w tych dyscyplinach bardzo dobre wyniki.

A potem wybuchła wojna i Zguda, oskarżony o działalność polityczną, rozpoczął więzienną wędrówkę po obozach Auschwitz, Buchenwald, Flossenbürg i Dachau. Podkreśla, że mógł zginąć wielokrotnie i że przeżył cudem, często dzięki napotkanym przyjaciołom. Jednak nie skupia się tylko na tym. Nawet chętniej wspomina epizody, które pozwalały oderwać się od upiornej obozowej rzeczywistości.

Życie sportowca we wczesnym PRL-u nie było złe, ale gdy system zaczął zaciskać pętlę, lepiej było uciec. I tak zaczął się ostatni, amerykański etap historii Henryka. Do Nowego Świata Zguda przypłynął, nie znając zupełnie języka angielskiego, jednak w odnalezieniu swego miejsca pomogło mu mu znów pływanie. No i przyjaciele – a w ich gronie Jerzy Kosiński.

Dzieje Henryka spisała Katrina Shawver – dziennikarka, która poznała go przypadkiem. Na podstawie wspomnień i szeregu rozmów z samym Zgudą, a po jego śmierci z żoną, stworzyła portret człowieka nietuzinkowego o równie barwnych, co zagmatwanych losach, jakie stały się w XX wieku udziałem wielu Polaków.

Patroni:

HISTORIA
DZIECKA



TVP
HISTORIA

HISTORIA

fakty
oświeć

ODKRYWA
SZKŁO - SPÓŁNIA - SZYFRA

W MROKU HISTORII

Cena: 39,90 zł

ISBN 978-83-66217-62-1

MBP Cieszanów
Od Auschwitz do Ameryki...



0000028098

KATRINA
SHAWVER

OD AUSCHWITZ
DO AMERYKI

NIEZWYKŁA
HISTORIA
POLSKIEGO
PŁYWAKA

Replika

KATRINA
SHAWVER

OD AUSCHWITZ DO AMERYKI

NIEZWYKŁA HISTORIA POLSKIEGO PŁYWAKA



Replika



Pierwsza komunia Henryka Zgudy. Brak daty.
Album fotograficzny Henryka Zgudy.

HENRYK I JA ZACZYNAMY

Tydzień po naszym pierwszym spotkaniu o dziewiątej rano zadzwoniłam do drzwi Henryka i Nancy. Znow otworzyła drzwi Nancy i zaprosiła mnie do środka. Musiałam uśmiechnąć się do tej przyjaznej, gościnnej kobiety.

– Witaj kochanie. Wchodź, wchodź. Tak się cieszę, że wróciłaś. Namawiam Henryka od lat, żeby spisał swoje opowieści, a on nigdy tego nie zrobił. Próbowaliśmy, ale to bardzo trudne. Tyle jest tych historii, od czego zacząć? A teraz ty tu jesteś. Dzięki Bogu.

Podążyłam za nią na to samo patio, na którym rozmawialiśmy po raz pierwszy. Jeszcze zanim przeszliśmy przez kuchnię, rozpoznałam woń świeżo parzonej kawy i świeczki, tym razem o zapachu cynamonowo-jabłkowym. Przechodząc obok lodówki, zobaczyłam przypięty do niej na poczesnym miejscu mój artykuł o Henryku.

Henryk wstał, by mnie przywitać. Ponownie wyciągnęłam rękę w geście tradycyjnego amerykańskiego powitania i porozumienia przy naszym nowym wspólnym projekcie. Podobnie jak poprzednio, Henry na powitanie pocałował mnie w rękę.

Nancy wciąż krążyła za nami.

– Kochanie, mam świeżą kawę. Przynieść ci? Mogę ci też zrobić herbaty.

– Dziękuję, Nancy, nie trzeba.

– Więc może chcesz ciasta? Pozwól, że przyniosę ci kawałek.

– Naprawdę nie trzeba, Nancy, dziękuję.

Wkrótce miałam się przekonać, że Nancy częstowała jedzeniem i piciem każdego, kto przekroczył próg i rzadko godziła się na odmowę. Było to charakterystyczne dla wychowania w dużej włoskiej rodzinie w Bronksie, za którą, jak mówiła, zawsze tęskniła.

Nancy ponownie zasunęła szklane drzwi i odeszła do swoich zajęć. Od razu poczułam zadowolenie, że zaproponowałam ten projekt. Nawet jeżeli historia nie wypali, poznałam dwójkę bardzo miłych, serdecznych ludzi.

Henryk i ja usiedliśmy przy stole ogrodowym.

Tym razem w pobliżu stała misa czekoladek i orzeszków. Ten sam gruby, brązowy album fotograficzny leżał na stole obok kilku podniszczonych i pożółkłych książek w miękkich okładkach. Popatrzyłam szybko na tytuły: *Sprawa Eichmana* Henry'ego A. Zeigera, *Wewnątrz Trzeciej Rzeszy* Alberta Speera i kilka książek po polsku. Henryk przysunął swoje krzesło do mojego, tak że siedzieliśmy niemal ramię w ramię i otworzył album. Zapomnijcie o warunkach przechowywania archiwalnych fotografii. Stare zdjęcia były przyklejone do stron pożółkłą przezroczystą taśmą klejącą, sklejone brązową taśmą pakunkową strony ledwo trzymały się razem.

Wyjęłam teczkę z moją wizytówką, życiorysem i próbkami twórczości, aby poprosić Henryka o pozwolenie na opisanie jego historii. Zapytał, ile ma mi zapłacić. Przedyskutowaliśmy spisanie formalnej umowy i zanotowałam, by przygotować ją



Od lewej: Matka Henryka Karolina Zguda, Henryk, jego prababka i ciotka Antonia, 1919 rok.
Album fotograficzny Henryka Zgudy.

na nasze następne spotkanie. Jeśli chodzi o pieniądze, powiedziałam, że uzgodnimy to później, przy pracy. Pieniądze nie były celem tego projektu.

Wyjęłam magnetofon, wyciągnęłam też zeszyt i długopis, by móc robić notatki, gdy będzie mówił.

Henryk uśmiechnął się do mnie.

– Napisałaś świetny artykuł. Wysłałem go moim przyjaciołom w Szwecji, Polsce i Belgii. Teraz jesteś znana na arenie międzynarodowej.

Przyjęłam ten komentarz jako formę gratulacji i znak, że w tej historii będzie więcej międzynarodowych powiązań.

Podniósł oprawione w ramki zdjęcie chłopca w białym ubraniu.

– Popatrz. Prawda, że byłem ładnym chłopcem?

Henryk zaśmiał się z własnego żartu, wskazując na swoje zdjęcie z pierwszej komunii. Przerzucił kilka pierwszych kart albumu. Były tam cztery jego zdjęcia z okresu przed ukończeniem szesnastu lat – wszystkie szkolne. Następnie Henryk wskazał na małe, bardzo stare zdjęcie w kolorze sepii. Były na nim dwie młode kobiety, wyglądające na nie więcej niż 18–19 lat, stojące po obu stronach siedzącej, srodze wyglądającej, starszej kobiety. Wątpię, czy na jej twarzy kiedykolwiek pojawił się uśmiech. Jedna z młodych kobiet trzymała pod ramiona niemowlaka.

– To jest moja matka, ja, moja ciotka Antonia i moja prababka. Gdy moja prababka była młodsza, była pokojówką w pałacu carskim w Petersburgu. Zawsze myślałem o niej, że ma sto lat. Przez jakiś czas mieszkała z nami. Ciągle mnie strofowała:

– Heniu, nie rób tego. Heniu, nie rób tamtego. Heniu, wyczyść to – wszyscy w mojej rodzinie mówili do mnie Heniu. Przez całe życie niechętnie słuchałem rozkazów.

Prababka miała wielki kufer z czarnymi, żelaznymi okuciami, bardzo ciężki. Był to sekret naszej rodziny. Wszyscy czekali lata, aż umrze, by dowiedzieć się, co w nim jest. Może pieniądze, może coś innego. Moja matka miała cztery siostry i czterech braci – łącznie ośmioro. Po pogrzebie wszyscy krewni przyszedli z siekierą i próbowali otworzyć kufer. Pamiętam, że siedziałem na stołku w kącie pokoju.

W końcu jednemu z wujków udało się rozłupać siekierą zamek. Najpierw wyciągnęli sukienkę z czasów, kiedy była pokojówką. Potem sukienkę z czasów, kiedy tańczyła jako młoda dziewczyna. Śmieszny, rosyjski styl.

Następnie krewni znaleźli trochę taniej, sztucznej biżuterii. Wreszcie, na dnie kufra leżała gruba koperta. Więc to tam są pieniądze, na które wszyscy liczyli. Istotnie, koperta była nimi wypełniona. W środku wujowie znaleźli 100 000 rubli z 1917 r., kiedy car był jeszcze u władzy. Za 100 000 rubli można było kupić dwie lub trzy wsie ze wszystkimi mieszkańcami.

Henryk śmiał się, odkąd zaczął opowiadać tę historię. Teraz zachichotał, gdy przypomniawszy sobie miny krewnych.

– Car już nie żył, a pieniądze były bezwartościowe. Wszyscy śmiali się do rozpuku, oprócz wuja Jana. Wuj Jan był najbogatszy z całej rodziny.

Musiałam z ciekawości zapytać:

– Dlaczego był najbogatszy?

– Wuj Jan był fryzjerem. Był taki twardy. Miał zakład fryzjerski, pieniądze wpadały każdego dnia. Kiedy kupujesz garnek, robisz to raz. Ale kiedy obcinasz włosy, ludzie zawsze wracają, gdy włosy odrosną. To był dobry zakład fryzjerski. Pamiętam, jak oglądał moje włosy, sprawdzał ich grubość i giętkość i robił przepowiednie. Dobry fryzjer zna swoich klientów.

Mówił mi:

– Heniu, jesteś bardzo nieśmiały. Nie znajdziesz w życiu zbyt wysoko. Ale znajdziesz się daleko stąd.

Całe to wydarzenie bardzo wuja zmartwiło i nie odzywał się do nikogo przez tydzień.

Henryk dalej się uśmiechał, po czym znów skierował uwagę na album ze zdjęciami i kontynuował opowieść.

Nie znałem w ogóle mojego ojca, Wincentego Zgudy. Podczas I wojny światowej został wcielony do armii austriackiej w Galicji. Byli w okopach nad rzeką Pad, we Włoszech¹. Pełno błota i wody, deszcz, wokół latały komary wielkie jak ptaki. Nabawił się malarii.

Nie byłem pewna, czy dobrze usłyszałam Henryka.

– Poczekaj. Czy nie masz na myśli polskiej armii?

– Nie, nie. Polski wtedy nie było.

W tym momencie naprawdę zaczęłam sobie zdawać sprawę z tego, jak mało wiem o Polsce i jak wiele muszę się dowiedzieć. Nie byłem nawet pewna, czy jest Kraków czy Cracow, a Henryk powiedział, że nie było Polski? W tym momencie zakres projektu podwoił się. Gdy rozważałam informację, że Polski nie było, Henryk kontynuował swoją historię:

– Wrócił do domu z wojny, gdy miałem około półtora roku. Pewnego dnia wyskoczył z łóżka, trzęsąc się w jakimś ataku. Upadł na podłogę. Moja matka musiała go podnieść. Wezwała pomoc. W końcu przybyli sanitariusze i zabrali go do jakiegoś szpitala w Berlinie. Nie wiedziała, do którego i nigdy już o nim nie słyszeliśmy. Tak więc nie wiedzieliśmy gdzie on jest.

¹ Narrator pomylił się. Choć wojska austro-węgierskie i niemieckie przełamały włoski front w 1917 r., to nigdy nie doszły tak daleko, zatrzymując się na wschód i północ od Wenecji i Werony. Najpewniej chodziło mu o jedną z rzek, tworzących linię frontu w poprzednich latach, jak Isonzo (Socza) [przyp. G.A.]

Henryk przerwał, uśmiechnął się i wskazał palcem na sufit, jakby na niebo.

– Cóż, teraz wiemy gdzie jest, ale wtedy nie wiedzieliśmy.

– Czy masz zdjęcie ojca? – zapytałam.

– Nie. Nie mam zdjęcia. Moja matka była bardzo twardą kobietą z gór. Wywodziła się z górali, ludności wiejskiej żyjącej w górach na południu Polski. Górale są biedni, ale twardzi. Niezależni. Przeżyła. Ja też przeżyłem. Mam jej rysy twarzy, dość ciemną cerę i duży nos. Była bardzo niska, nie to co ja. Henry to amerykańska forma mojego imienia. W Polsce miałem na imię Henryk. Matka i przyjaciele mówili do mnie Heniu. Do czasu, kiedy miałem około siedem lat, mieszkaliśmy z moimi dwiema ciotkami, wujkiem i czwórką kuzynów w dwupokojowym mieszkaniu.

Chociaż Henryk miał wielu kuzynów z imienia wymieniał jedynie Władysława i Stanisława, którzy byli dla niego jak bracia. Jego zdjęcia w albumie z tymi dwoma kuzynami są rozrzucone po wielu stronach.

– Mieszkaliśmy na przyjemnej ulicy w Krakowie, Stefana Batorego, który był królem Polski w latach 1575–1586. W końcu moja matka dostała pracę w państwowych zakładach tytoniowych i przeprowadziliśmy się do małego mieszkania na ulicy Pańskiej².

Śniadanie to był kawałek chleba, który się lekko moczyło i posypywało cukrem. Wiesz, mamy w Polsce specjał, który uwielbiam: kasza. To ziarno. Kupujesz kaszę w sklepie, gotujesz, aż napęcznieje i nabierze smaku. Następnie dodajesz do niej prawdziwe kwaśne mleko, nie maślanke, jaką mamy tutaj. Mmm, dobre.

² (obecnie Marii Skłodowskiej-Curie – przyp. tłum.)

W Polsce kwaśne mleko robiono z pełnego mleka. Na rogatce, gdzie chłopci przywozili mleko do miasta, inspektor sprawdzał zawartość tłuszczu w mleku. Jeżeli tłuszczu było zbyt mało, odsyłał ich i nie pozwalał sprzedawać.

W tym miejscu Henryk zachichotał ponownie, wzruszył ramionami i uniósł obie dłonie w geście lekkiej frustracji.

– Wiesz, w tym kraju nie potrafisz rozpoznać odtłuszczonego mleka: jest jak woda, a płaci się podwójnie. W Polsce za sprzedaż odtłuszczonego mleka szło się do więzienia. Nikomu nie wolno było ściągać tłuszczu z mleka dla siebie. Dzieci potrzebują tłuszczu, by rosnąć. Tu ludzie dają swoim dzieciom odtłuszczone mleko.

Powiem ci, co jeszcze w tym kraju moim zdaniem kompletnie nie ma sensu. Oglądasz telewizję i jest tam pełno reklam wszelakich programów odchudzania. Nie rozumiem, dlaczego ludzie płacą, żeby schudnąć. Schudnąć jest tak łatwe – wystarczy przestać jeść. Oszczędza się też przy tym pieniądze. W komunizmie wiecznie stało się w kolejkach tylko po to, żeby kupić coś do jedzenia. Po co płacić więcej, by mniej jeść? Dla mnie kompletnie nie ma to sensu.

Gdy Henryk rozkładał ręce i kręcił głową nad pokrętną logiką płacenia za niejedzenie, ja podświadomie sięgnęłam po kolejny kawałek czekolady.

SPÓJRZENIE NA POLSKĘ

Historia Polski, którą Henryk streścił w krótkim zdaniu, że „wtedy nie było Polski”, zasługuje na krótkie omówienie.

Pozycja Polski w świecie w XX wieku, a także wiele uwarunkowań i podziałów kulturalnych istniejących za życia Henryka, było rezultatem stuleci konfliktów.

Polska leży w środkowej Europie między swoimi dwoma historycznymi wrogami: Niemcami i Rosją. Polacy zawsze musieli bronić się przed obcymi siłami, chcącymi zagarnąć lub zniszczyć ich ziemie. Od złotego dla Polski XVI stulecia do 1989 r. polskie granice zmieniały się wielokrotnie. Podobnie jak w przypadku wielu innych państw w Europie, w Polsce nie ma geograficznych barier, pomagających określić wschodnią i zachodnią granicę i uczynić je łatwymi do obrony. Wrogowie zawsze chcieli korzyści, jakie dawało strategiczne położenie Polski wzdłuż szlaków handlowych, żyznych ziem uprawnych, węgla i innych zasobów naturalnych. Przez stulecia działania kolejnych najeźdźców były podobne: masowe rzezie Polaków, niszczenie ich wsi, gospodarstw i wszystkiego, co miało jakąś wartość, a nie dało się zrabować.

Większość historyków zgadza się, że prawdziwie złoty wiek Polski trwał od końca XV wieku. Na początku XVII wieku zaczął się jego schyłek, a ostatecznym końcem był najazd szwedzki w 1655 r. Akademia Krakowska, później przemianowana na Uniwersytet Jagielloński, została utworzona w 1364 r. jako jeden z niewielu uniwersytetów w Europie. Chociaż początki miała trudne, w XV wieku rozkwitła, przyciągając studentów z całego kontynentu i trwale uczyniła Kraków centrum nauki. W 1491 r. Mikołaj Kopernik wstąpił na Uniwersytet Jagielloński, by studiować astronomię. Później został duchownym. Kopernik jest twórcą teorii heliocentrycznej, według której planety krążą wokół Słońca. Wyniki jego badań wbrew woli Kościoła opublikowano w 1543 r., już po jego śmierci. Dwadzieścia lat później urodził się włoski astronom Galileusz,

kontynuator myśli Kopernika, który za swoje przekonania popadł w konflikt z Kościołem Katolickim.

W 1600 r. Rzeczpospolita Obojga Narodów, czyli Polska, była największym państwem w Europie, zajmując obszar niemal trzykrotnie większy od Teksasu. Populacja licząca około dziesięciu milionów była dwukrotnie liczniejsza od Anglii lub równa populacji Włoch, Hiszpanii i Portugalii razem wziętych. Polska miała odmienną filozofię niż inne europejskie kraje, rządzone przez dynastie, jak Habsburgowie w Austrii czy Tudorowie w Anglii. Tam, gdzie monarchowie starali się zwiększać kontrolę nad jednostką i utrzymać scentralizowaną władzę, Polacy przyjęli przeciwne założenie, z przekonaniem, że żaden człowiek nie ma prawa mówić drugiemu, co powinien robić. Pogarda dla władzy i szacunek dla szlachectwa były widoczne od czasów średniowiecza i miały doprowadzić do powstania krótkotrwałej demokracji w XVIII wieku. Ideał indywidualnej wolności, przynajmniej dla szlachty, napędzał pożądanie i wiarę w niepodległą Polskę, które istnieje od stuleci.

Niestety, niewydolny rząd i królewski romans miały stworzyć warunki do przyszłego upadku Polski. Polska szlachta uważała się za najwyższą władzę w kraju. Szlachectwo było dziedziczne, i dawało prawo do decydowania o wyborze króla, a chłopcy mieli niewiele praw. Każdy szlachcic-katolik – Polak bądź cudzoziemiec – mógł ubiegać się o elekcję. W duchu niezależności, a może jako wybieg służący zagwarantowaniu, że nikt nie będzie działał przeciw niej, szlachta uchwaliła ostatecznie i wprowadziła chybioną koncepcję liberum veto, czyli zasadę ustrojową dającą prawo każdemu z posłów biorących udział w obradach Sejmu do zerwania go i unieważnienia podjętych uchwał. Głosowanie podczas elekcji króla musiało być jednomyślne. Wyobraźcie sobie rząd, który próbuje działać na

zasadzie jednomyślności – nic się nie da zrobić. Dlatego nie powinno zaskakiwać, że pomimo dużej liczby ludności i rozległego terytorium, Polska nigdy nie stworzyła silnego centralnego rządu, skarbu ani silnej, stałej armii. Na początku XVIII wieku 90 procent ludności Polski żyło w ubóstwie lub służyło szlachcie. Mimo dumnego dziedzictwa, kraj padł ofiarą silniejszych mocarstw, chociaż nie obyło się bez ostrych sprzeciwów.

Katarzyna Wielka rządziła Rosją od 1762 r. do 1796 r., kiedy to zmarła w wieku 67 lat. Pochodziła z jednego z licznych niemieckich księstw, jej ojciec był władcą utytułowanym, ale pozbawionym majątku. Kiedy wyjechała do Rosji, miała 16 lat, lecz mimo młodego wieku potrafiła tak manipulować otoczeniem, że została carycą, a właściwie carem Rosji. Doszła do władzy po tym, jak sprawiła, że jej mąż został aresztowany. Następnie zmusiła go do abdykacji i doprowadziła do jego zamordowania przez brata jej kochanka. Podczas swojego panowania miała wiele romansów. Jednym z jej najwcześniejszych kochanków, jeszcze nim wstąpiła na tron, był polski arystokrata Stanisław Poniatowski. Był ojcem jednego z jej dzieci, ale później wydalila go z rosyjskiego dworu i, przewidując, że niezbyt nadaje się na przywódcę, tak manewrowała, że w 1763 r. został wybrany królem Polski Katarzyna dzięki temu ulokowała rosyjskie armie w Polsce, by „pomogły chronić” kraju.

3 maja 1791 r. została w Polsce uchwalona Konstytucja – pierwszy taki dokument w Europie i drugi na świecie, po tym, jak Stany Zjednoczone przyjęły swoją w 1788 r.

Prusy, Rosja i Austria sprzeciwiały się istnieniu niepodległego kraju wolnych ludzi tak blisko ich granic, by duch niezależności nie rozprzestrzenił się i nie nakłonił ich ludności do powstania przeciw monarchiom. By podzielić i rozparcelować

Polskę, Katarzyna Wielka wykorzystała swoje koneksje do stworzenia trójstronnej koalicji z Rosją na wschodzie, cesarstwem³ pruskim – poprzednikiem dzisiejszych Niemiec – na zachodzie i cesarstwem austriackim⁴ na południu. Rosja zagarnęła zdecydowanie największą część terytorium Polski. W 1795 r. Polska zniknęła z mapy Europy.

Gdy Polska została podzielona, Warszawa i wschodnia Polska znalazły się w zaborze rosyjskim; Kraków znalazł się w zaborze austriackim, a ziemie zachodnie – w zaborze pruskim.

Austriacy traktowali Kraków znacznie lepiej niż Rosjanie Warszawę. Austriacy zagarnęli ziemie, ale byli w przeważającej części katolikami, podobnie jak Polacy na ich nowo zdobytych terytoriach. Austriacy, pomimo strategicznego sojuszu, nienawidzili Niemców i Rosjan.

Austriacy zmodernizowali miasto, wprowadzając bieżącą wodę, elektryczność i pierwsze elektryczne tramwaje. Gdy średniowieczne mury miejskie rozsypały się, Austriacy zburzyli je i w latach 20. XIX wieku przekształcili ten obszar w piękny park o powierzchni 21 ha, znany jako Planty, który otacza i wytycza granice najstarszego centrum Krakowa. W parku rosną stuletnie kasztany, są tam oświetlone alejki, ławki i pomniki. Park ma około czterech kilometrów długości i obiega górujący nad brzegiem Wisły Wawel.

Podczas I wojny światowej ponad 400 000 Polaków zginęło, a 900 000 zostało rannych, walcząc w szeregach trzech armii: rosyjskiej, pruskiej i austriackiej. W 1918 r., rok po narodzinach Henryka Zgudy, Polska odzyskała niepodległość. Odrodzone państwo stało się znane jako II Rzeczpospolita.

³ właściwie królestwem – przyp. G.A.

⁴ do 1804 r. monarchią habsburską – przyp. G.A.

DORASTANIE W KRAKOWIE

HENRYK KONTYNUUJE:

Moja matka pracowała całymi dniami w państwowych zakładach tytoniowych. Byłem samotnym dzieckiem. Po szkole znajdowałem przyjaciół na Plantach.

– Plantach? Co to są Planty?

– To park wokół Krakowa.

Wyciągnęłam przyniesiony przewodnik po Krakowie i otworzyłam go na planie historycznego centrum miasta. Poprosiłam Henryka, by zaznaczał miejsca, o których mówi.

– To Zakopianka, gdzie bawili się moi przyjaciele.

W całym parku były ławki i piękne kasztanowce. Tu mieszkaliśmy razem z kuzynami.

Mówiąc to, Henryk, w miejscach, które wskazywał na planie, rysował małe znaczki X.

– Moja matka pracowała całymi dniami. Chodziłem do parku. Miałem wielu przyjaciół. Pamiętam jednego, Karola „Lolka” Swolińskiego, z którym mieszkaliśmy w jednej kamienicy. Bawiliśmy się w zniszczonych domach i łaziliśmy po jaskiniach, we wszystkie miejsca, które mogliśmy zbadać. Uciekł, by wstąpić do cyrku. Sześć miesięcy po jego ucieczce dostałem pocztówkę z Bombaju w Indiach, podpisaną: Karol Swoliński, cyrkowiec.

Później miałem przyjaciela, który stał się sławny. Nazywał się Jan Owczarzyk. To jest dobre, polskie nazwisko dla ciebie.

Henryk zaśmiał się i cierpliwie przeliterował nazwisko Jana, jak robił to ze wszystkimi polskimi nazwiskami. Pewnego

dnia, kiedy przeliterował chyba cztery skomplikowane polskie nazwiska po kolei, zaczęłam narzekać, jakim trudnym językiem jest polski z powodu wszystkich tych spółgłosek. Henryk miał gotowy komentarz.

– Wiem, że polski jest trudny dla Amerykanów. Ale naprawdę polski jest łatwym językiem. To angielski jest trudny. Dlaczego jakiś język ma dwa lub trzy słowa, które brzmią tak samo, a znaczą co innego? *Steel* i *steal*. *They're*, *there*, i *their*. *Its* i *it's*. To dla mnie nie ma sensu. Polacy tego nie robią. Powinnaś nauczyć się polskiego i wtedy moglibyśmy naprawdę porozmawiać.

Henryk powrócił do swojej opowieści.

– Jan grał ze mną w piłkę nożną i uprawiał też inne sporty. Był jednak bardzo nerwowym typem. Stał się sławny, bo zabił swoją babcię ciężarkiem z dziadkowego zegara. Wiesz, co to są ciężarki? Został aresztowany i poszedł do więzienia. Nigdy więcej go nie widzieliśmy.

Mam grę dla ciebie: palant. Był to tego potrzebny kawałek miotły, długości około ośmiu cali.

Henryk rozłożył ręce, demonstrując długość, po czym kontynuował opowieść:

– Dla siebie potrzebowałem dobrego kija, długości nogi od stołu albo krzesła. Mogła być też gałąź. Do gry w palanta potrzebne jest duże pole. Graliśmy jak w baseball, tylko kijami. Uderzało się w kawałek drewna. Pamiętam, jak pewnego dnia wybiłem tym kijem okno w restauracji Zakopianka. Uciekaliśmy, aż się kurzyło.

Henryk śmiał się serdecznie z tego wspomnienia.

– Graliśmy też w piłkę nożną. Sami robiliśmy piłki. Brało się stare skarpetki, szmaty i co tylko się dało, robiło się z tego

kulę, moczyło i obwiązywało ciasno sznurkiem, aż kula szmat osiągnęła rozmiary piłki futbolowej. Jeden z nas zawsze robił piłkę. Jeśli zrobiło się ją porządnie, wystarczała na cały mecz.

Biegaliśmy też i robiliśmy maratony wokół całego Krakowa. Raz w roku mieliśmy wielki wyścig. Mieszkałem w pobliżu dworca kolejowego w Krakowie. Biegaliśmy po całych przedmieściach.

Ponownie wyjęłam przewodnik i podsunęłam Henrykowi plan centrum Krakowa, by zaznaczył konkretne miejsca.

– A potem tutaj, tutaj i tutaj te skurczybyki robiły skróty.

Henryk popatrzył na plan Krakowa i zaznaczył, gdzie biegli na skróty, by nie robić pełnego okrążenia.

– Oszukiwali?

– No pewnie. Wszyscy. Trzeba było tylko robić to tak, by nie dać się złapać. Nikt tego nie organizował, tylko my. Kiedy mijało się zamek na Wawelu, można było pobiec na skos i zaoszczędzić prawie milę. Było warto, ponieważ nikt nie widział, że robi się skrót. Wszyscy byliśmy dobrymi biegaczami.

Ja i moi przyjaciele mieliśmy swoje miejsce na Plantach, które nazywaliśmy Zakopianką, bo znajdowało się koło restauracji o tej nazwie. Prawdziwą akcją były guziki. Graliśmy w nie cały czas. Gdy moja matka nie wiedziała, gdzie jestem, brała kij od miotły albo trzepaczkę i szła do parku. Dostałam lanie i goniła mnie do domu. Zawsze wściekała się, gdy włóczyłem się, zamiast odrabiać lekcje.

Henryk znów się uśmiechnął.

– Wolałem trzepaczkę od kija, bo była bardziej miękka. Wiele razy, gdy spóźniałem się do domu dwie albo trzy godziny, wychodziła mnie szukać.

– Nigdy nie słyszałam o grze w guziki. Jak się w nie grało?

– Potrzebne były duże guziki, najlepiej od płaszcza zimowego, około pięciocentymetrowe. Pocierało się takim guzikiem o bruk, by go wygładzić, aby się łatwiej ślizgał.

Wręczyłam Henrykowi czystą kartkę, by narysował schemat gry. Zawsze radzę sobie lepiej z przykładami zilustrowanymi.

– Widzisz, tu jest ławka. Zaznaczasz nożem lub szczyrykiem... tu jest bramka...

Przerwał, by uśmiechnąć się i mrugnąć do mnie. Wspominał z sarkazmem o jednej wadzie:

– Wiesz, gra w guziki była bardzo niebezpieczna. Ławki były stare, więc wiele razy, gdy ześliznęła mi się ręka, wbiłem sobie drzazgę i potem było „o cholera.”

Henryk objaśniał dalej schemat prostej gry, punktowanej jak mecz piłki nożnej i rozgrywanej na drewnianej ławce w parku przy użyciu grzebienia, kradzionych guzików i kawałka korka. Henryk zademonstrował, jak uderzyć grzebieniem guzik, by niczym biała bila w bilardzie wepchnął korek do bramki. Jak w piłce nożnej, jeśli korek wpadł do bramki drużyny przeciwnej, zdobywało się punkt.

– Oczywiście matka zawsze biła mnie, jeżeli próbowałem podkraść guziki, bo były potrzebne przy płaszczu. Ja i wielu moich kolegów nie mieliśmy ojców mających długie płaszcze, więc musieliśmy namawiać innych chłopaków, by kradli je swoim ojcom. Moja drużyna dzięki temu, że wiedzieliśmy, jak zdobywać guziki, zawsze miała najlepszych graczy i biliśmy na głowę inne drużyny. Czasem zamieniałem słodycze na guziki.

– Skąd brałeś słodycze?

– Przeważnie musieliśmy je kupować. Ale rodzina jednego z moich kolegów, Haubenstaucha, miała delikatesy. Brałem od niego garść cukierków. Ale moja drużyna zdobywała najlepsze

guziki również w inny sposób, jednak nie wiem, czy powinienem ci o tym mówić.

Popatrzył na mnie z chytrym uśmieszkiem.

– Już to powiedziałaś. Jestem naprawdę ciekawa. Dawaj!

– Zamienialiśmy zużyte prezerwatywy.

– Żartujesz! – wypaliłam. – Naprawdę?



Henryk Zguda przed Kościołem Mariackim w Krakowie. Brak daty.

United States Holocaust Memorial Museum, dar Nancy Zgudy.

– Tak. Czyściło się je i można było z nich robić balony. Dla niektórych to była wielka atrakcja.

Kraków był bardzo pobożnym miastem. Kościoły na każdej ulicy. Tu kościół Świętego Mikołaja, na tamtym rogu Świętego Jana, przecnicę dalej jakiegoś innego świętego. Dużo ich było. Każdej niedzieli w południe w kościele Mariackim była obowiązkowa msza – wszyscy chodzili tam z rodzinami, żonami i dziećmi. Był też kościół św. Jana. Zawsze za nim śmierdziało. Co było robić? Faceci nie wytrzymywali. Siedzi się na długiej mszy, a nie ma publicznych toalet. Również tam, za kościołem św. Jana, gromadziły się tanie prostytutki. Chodziliśmy więc tam i każdej nocy znajdowaliśmy jedną, dwie, albo trzy prezerwatywy.

KOŚCIÓŁ I OLTARZ MARIACKI

Henryk przerzucił kartkę w albumie i wskazał na niewielkie, czarno-białe zdjęcie wielkości portfela, przedstawiające go jako młodzieńca w wieku około dwudziestu lat. Był ubrany w garnitur i patrzył w obiektyw. Za nim widać było wysoki, ceglany kościół z dwiema wieżami wznoszącymi się w niebo. Linie pionowe były proste, jak w katedrze Notre Dame w Paryżu. Gdy przyglądałam się kościołowi, uderzyło mnie, że obie wieże wybudowano w różnych stylach. Lewa wieża wydawała się znacznie bardziej ozdobna niż prosta i niższa prawa. Henryk musiał czytać mi w myślach, bo zaczął objaśniać zdjęcie:

– Wiesz, Kościół Mariacki to bardzo ważny kościół w Krakowie, najważniejszy obok katedry wawelskiej. Popatrz,

jak dwie wieże się różnią jedna jest wyższa od drugiej. Gdy się tam podejdzie, widać nóż na ścianie.

– Po co w kościele nóż na ścianie?

– To stara legenda. Ten kościół budowali dwaj bracia. Każdy z nich był odpowiedzialny za budowę jednej wieży. Byli wobec siebie bardzo zazdrośni i każdy starał się zbudować wieżę wyższą i lepszą niż drugi. Gdy starszy brat zbudował wyższą wieżę, młodszy nie mógł pogodzić się z porażką i zabił go tym nożem, a potem zabił siebie, dręczony wyrzutami sumienia. Dlatego jedna wieża jest niższa.

W kościele znajduje się rzeźbiony w drewnie bardzo wysoki ołtarz Wita Stwosza z XV wieku. Składa się z części środkowej i dwóch zamykanych części bocznych. Jest na świecie bardzo znany, Polacy uważają go za arcydzieło bezcenne, jedno z najważniejszych dzieł sztuki w Polsce.

Ponownie popatrzył na zdjęcie.

– Widzisz wyższą wieżę? Jest tam pomieszczenie dla hejnalisty. Mój sąsiad Cyprian Dultz zabierał mnie wielokrotnie na górę, gdy grał hejnał.

Henryk złożył dłonie na kształt trąbki i zanucił krótką melodię.

– Da-da, dadada da, da – przerwał nagle w pół tonu.

– Cyprian był strażakiem. Był wyszkolony jako jeden z krakowskich trębaczy – cztery godziny służby w brygadzie gaśniczej, cztery jako trębacz. Wspinaliśmy się po wielu, wielu stopniach na szczyt wyższej wieży. Z każdej strony było tam okno. Podchodził do jednego okna, otwierał je, grał hejnał, zamykał i szedł do następnego okna, aż zagrał hejnał na wszystkie cztery strony.

Melodia urywa się w pół tonu dla upamiętnienia trębacza, którego Tatarzy trafili strzałą w gardło wieki temu. Od XIV